

Moje przyjaciółki
z Ravensbrück

Magda
K N E D L E R

Moje przyjaciółki
z Ravensbrück

© Wydawnictwo WAM, 2019

© Magdalena Knedler, 2019

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Katarzyna Onderka, Monika Karolczuk

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na pierwszej stronie okładki: © Everett Collection/Shutterstock

Zdjęcie autorki na okładce: © Dariusz Kobucki / Studio INIGO

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2152-5

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: ABEDIK • Poznań

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Za wszelkie wsparcie w pracy nad książką, pomoc w zdobywaniu materiałów i bardzo inspirujące rozmowy serdecznie dziękuję:

Pani Elżbiecie Kucie, prezes stowarzyszenia Rodzina Ravensbrück, która podzieliła się ze mną wiedzą na temat obozu i wspomnieniami o swojej matce, Jadwidze Kucie, byłej więźniarce KL Ravensbrück.

Pani Kamili Janowicz-Syczowej, byłej więźniarce KL Ravensbrück, harcerce tajnej drużyny „Mury”, która jako jedna z ochotniczek pozostała w obozie do samego końca, aż do lata 1945 roku, opiekując się chorymi niezdolnymi do marszu.

Pani Aleksandrze Kann, wspaniałej artystce, córce rzeźbiarki Zofii Pociłowskiej-Kann, byłej więźniarki KL Ravensbrück.

Pani Barbarze Oratowskiej, dyrektor Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem” w Lublinie, niezmordowanej w podtrzymywaniu pamięci o lubelskich więźniarkach KL Ravensbrück, a w szczególności o poetce Grażynie Chrostowskiej.

Wiktorii Dudek, młodej i bardzo utalentowanej aktorce, która w filmie dokumentalnym *Za kratą są zielone drzewa* wcieliła się w postać Grażyny Chrostowskiej. W szczególności dziękuję za rozmowę o płaczu i więziennej przychy.

Mojemu Mężowi za długie godziny wysiedziane w Miejscu Pamięci i Przestrogi Ravensbrück, pomoc w przejrzeniu wszystkich

materiałów, przechodzenie przez płoty i wydeptywanie ścieżek. Nie dałabym rady sama.

Główne bohaterki książki są postaciami fikcyjnymi.

Losy wszelkich występujących w książce postaci autentycznych, jak również prawdziwe sytuacje z życia autorki zostały poddane fabularyzacji.

Powieść dedykuję Paniom Jeziora



Chleb

Liczyli go ludzie chytrze i łakomie,
Układali, przekładali śpiesznie.
Mylą się w ruchach czyjeś różne dłonie,
Nikt tego chleba nie weźmie.
Siedzieli w skupieniu, pochyleni nad stołem
Czekali chciwie, skryci, nie prości.
Chleb ten zaprawiony ostrym, nagim głodem
Nie jest, nie jest chlebem miłości.

Grażyna Chrostowska, Ravensbrück, 1941

Jeśli echo ich głosów zamilknie – zginiemy

Zofia Pociłowska-Kann, była więźniarka KL Ravensbrück,
napis pod rzeźbą *Pieta*

Maria

KL Ravensbrück, lipiec 1944

Komendant Suhren sunie wzdłuż szeregu. Musi przejść spory kawałek, a to wcale nie jest takie proste. Jego buciorzy grzęzną w błocie, podeszwy kłapią o kleiste podłoże. Lipiec, lato w pełni. Po ubitym czarnym piachu można by iść z godnością, pewnie stawiając kroki. A tymczasem ostatnio sporo padało i teraz Suhren się chwije, przegrywa w starciu z błotnistą breją. „Przynajmniej nie musi nosić drewnianych trepów”, myślą dziewczyny, każda dokładnie to samo, jak gdyby się umówiły. Wiedzą, że za chwilę coś nastąpi, skoro na lagerplacu pojawił się komendant. To nie jest zwykły apel. Zanim jednak usłyszą, w czym rzecz, każdą którą Suhren mija, zadaje sobie to samo pytanie. Przewróci się? Umoczy zad? To byłby widok! Tylek Fritza Suhrena cały w błocie.

– Szkoda, że nie w gównie – mruczy pod nosem Helga.

Maria wbija jej łokieć w zębra, na szczęście aufzejerka jest daleko, nic nie słyszała. Dziewczyny wymieniają spojrzenia, teraz już nie mają wątpliwości, faktycznie myślały o tym samym, a wyobrażenie Suhrena, który wywija orła na błocie, chwilowo poprawia im humor. Komendant zwalnia kroku, w końcu się zatrzymuje. W dłoni trzyma megafon. Maria nie ma ochoty słuchać. Dziś czuje się jeszcze gorzej niż wczoraj, gorączka rośnie i ciężko się oddycha, nie pomaga nawet zapach deszczu, który zawsze tak lubiła. Gardło boli, nie da rady

przełknąć śliny. Fale gorąca ustępują miejsca dreszczom. Maria trzęsie się i szczęka zębami. Musi jej to przejść. Musi przejść samo, nie ma innej rady. Nie wolno trafić na rewir – zwłaszcza teraz – kiedy jest ich tu coraz więcej. Mówią, że to umieralnia – zwłaszcza teraz – mówią, żeby się trzymać z daleka. Nie wolno chorować, nie wolno być niezdolną do pracy. Zwłaszcza teraz, zwłaszcza teraz. Dziś, jutro, pewnie pojutrze i jeszcze przez następne dni. Nad tygodniami, miesiącami i latami Maria się nie zastanawia, bo jej wyobraźnia przestała sięgać tak daleko. Bezpieczniej zastanawiać się nad „teraz”, nad „zwłaszcza teraz”, bo teraz jest gorzej. Kiedyś też było źle, ale jednak trochę lepiej.

Sabina mówi, że nie wolno myśleć o rozwałce. Nie wolno nawet przez chwilę. Jeśli się myśli o rozwałce, to jakby przyzywać śmierć, oswajając się z nią, z możliwością odejścia. Saba wierzy w magiczną moc myśli. Że mogą zamienić się w zdarzenia, przyjmując konkretne kształty i zapachy. Dlatego należy się kontrolować. Maria zastanawia się czasem nad tamtą Sabą, która siedziała w bunkrze. Nie rozmawiały o ciemnicy, widziały tylko skutki, kiedy stamtąd wyszły. Ale Maria wie, że ona sama umierała w bunkrze kilkakrotnie, a teraz została tutaj tylko jej cząstka, najsilniejszy fragment dawnego bytu zwanego Marią z Breslau, Niemką i zdrajczynią narodu. Reszty już nie ma. A Saba? Ile z niej przetrwało i stoi teraz na lagerplacu?

Suhren wrzeszczy przez megafon. Do Marii dopiero po chwili dociera treść jego przemówienia. Zamach. Podejrzane elementy. Kilka osób z otoczenia Führera. Konieczna ofiara. Oficerowie. Czołówka Wehrmachtu. Sąd wojenny. Kara śmierci. Tchórze. Zdrajcy narodu. Opatrzność. Cud. Heil.

Heil.

Czołówka Wehrmachtu.

Tchórze? Na pewno nie. Raczej szaleńcy, piękni, naiwni szaleńcy. Samobójcy. Żeby się porywać na szpetną głowę austriackiego akwarelisty? A może to Maria się myli, może tamci mieli przesłanki, że należy spróbować? Te dwa słowa: „czołówka Wehrmachtu”, brzmią dzisiaj jakoś inaczej, przyjemniej. Nie wzdryga się, kiedy je słyszy. Teraz z głośników słyhać głos Hitlera, znowu mówi o zdrajcach narodu, wrzeszczy, skrzeczy, prawdopodobnie też pluje, ale tego dziewczyny nie widzą. Na pewno był przestraszony i zaskoczony, myśli Maria, bo się okazało, że nie wszyscy go kochają i nie wszędzie jest bezpieczny. Przykro jest, kiedy rozsypują się złudzenia. Może następnym razem nikt nie zechce ochronić go własnym ciałem, nie będzie mowy o koniecznej ofierze, cudach i opatrności. Co wtedy? Maria zamyka oczy i pozwala sobie myśleć, że nie ma Hitlera. Zastanawia się, czy wystarczy jedna śmierć, by to wszystko się skończyło.

Hitler przestaje skrzeczeć, a Maria się chwieje. Kilka dziewczyn upadło w błoto i tak tu leżą – samotne, osłabione, na granicy śmierci. Mają dwa wyjścia. Albo wstaną, albo się je później uprzątnie. Maria nie raz widziała takie, które wstawały. Podnosiły się po ciosach pałką lub batem, po kopniakach i wyzwiskach. Zajmowały miejsca w szeregu i zyskiwały kolejne godziny życia, choć wszystkim się zdawało, że już były po tamtej stronie, strząsały z siebie niewolę razem z wychudzonym ciałem obleczonym w pasiak. To dopiero prawdziwy cud. Hitler o prawdziwych cudach nie ma pojęcia. Ani ten tutaj, Suhren, którego oczyma wyobraźni dziewczyny wciąż widzą z dupą w błocie.

Maria chwieje się mocniej. Nie wytrzyma. A jeśli upadnie, nie da rady wstać. Nie dzisiaj. Dzisiaj musiałaby raczej chodzić, raczej pozostawać w ruchu i żyć siłą rozpędu, bo już się przyzwyczała, że żyje, że wstaje, że prycza i robota, że się dawniej coś miało i na

coś czekało, ale teraz się już nie czeka, bo teraz jest gorzej, a kiedyś było trochę lepiej, chociaż też źle. Dzisiaj nie ma siły tkwić tutaj, na baczność. Jest jej zimno, kolana miękną, żołądek kurczy się i chce wydalić poranną pseudokawę. Brązowa breja pod stopami wydaje się nagle bardzo kusząca. Położyć się w błoto i tak już zostać. A później wylecieć przez komin, trafić do jeziora, mieć spokój. Wreszcie.

Zbliża się aufzejerka, ta z psem na smyczy.

To nic.

Maria i tak długo tu wytrzymała. Oby tylko ktoś ją zapamiętał, bo jeśli nie zapamięta nikt, to tak jakby nie istniała. Usłyszała kiedyś, że największą tragedią ludzi martwych jest brak bezpośredniego wpływu na żywych. Martwi nie mogą się żywym przypomnieć. Jedyne, co im zostaje, to nadzieja, że przetrwają we wspomnieniach. I idą tak, z tą nadzieją, w nieznane. Ciągną za sobą cienie zdarzeń, osób, przedmiotów, scenę po scenie, wszystko niematerialne, rozmyte, powiązane niewidzialnym sznurkiem, wszystko, o co walczyli, nad czym płakali i z czego się śmiali. Są zaskoczeni, kiedy oglądają swoje życie klatka po klatce jak niemy film, bo to przecież dużo i mało zarazem, dużo dla nich, a mało tak ogólnie, i jakie to ma teraz znaczenie, że się człowiek kłócił z bratem o czerwony sweter albo wzruszał przy rzewnej melodii. Że się cieszył chwilą albo chciał, by już minęła, by skończył się tydzień lub rok. Nic nam się nie układa, więc niech już będzie przyszłość, przyszłość musi być przecież lepsza niż to, co teraz, niż to, co zwłaszcza teraz.

Niech ktoś pamięta.

Maria może wyfrunąć przez komin, jest gotowa. Niech tylko ktoś...

Błoto drga i faluje jak brudne morze.

– Następnym razem się uda! W końcu zdechniesz, mein Führer, kij ci w nos! Następnym razem!

To Helga. Krzyczy i macha rękami. Zanim podbiega aufzejerka, szarpie jeszcze Marię za pasiak i stawia ją do pionu. A później znowu wrzeszczy:

– Kij ci w tyłek, mein Führer! Następnym razem zdechniesz!

Wokół Helgi robi się pusto, ciała w pasiakach cofają się, kierowane zwierzęcym strachem. Nikt nie chce stać obok, jak gdyby Helga zatrąła powietrze. Wychudzone twarze są teraz wykrzywione lękiem i niedowierzaniem. Marii kręci się w głowie. Pasiaki, chustki na głowach. Trójkąty. Czarne, czerwone, zielone, liliowe, żółte, różowe. Zielony winkiel na pasiaku Helgi podskakuje i tańczy.

– Zdechniesz, mein Führer!!! Nie mogę się doczekać, aż ci to zrobią!

Helga rzuca błotem w aufzejerkę. Teraz i Maria się odsuwa, jak wszystkie, ona także przerażona i dezorientowana.

Szarpanina, wrzaski, głuche uderzenia, skowyt, ale nie psi, tylko całkiem ludzki. Ciągną Helgę. Dokąd? Maria nie wie, jest za niska, inne dziewczyny zasłaniają jej widok. Nie może oddychać, ma wrażenie, że nie oddycha nawet wtedy, kiedy słyszy:

– Ustawić się w szeregu, krowy jedne! Na zaproszenie czekacie?! A za tego jednego zawszonego śmierdziela cały blok na karny apel po pracy! Cztery godziny!

Marii przychodzi do głowy, że zdąży się przygotować na śmierć. Ma na to prawie cały dzień. Nie wytrzyma czterogodzinnego apelu po pracy. Może spędzić ten czas na wyobrażaniu sobie, co będzie po tamtej stronie, albo na przypominaniu sobie wszystkich dobrych doświadczeń. Szczęśliwych chwil, ulubionych smaków i kolorów, pięknych miejsc, miękkich tkanin, książek i filmów, piosenek nuconych w wannie, głosów ludzi, których kochała. Twarzy swoich przyjaciółek. Sabiny, Bente, Helgi.

Helgi.

Za murem od strony krematorium słycać strzał.

Mięśnie Marii sztywnieją, usta wypełniają się żółcią.

Aufzejerka krzyczy:

– Ruszać się, leniwe krowy! Wymarsz!

Maria zaciska zęby. Jest wściekła. Wie, że to się jednak nie stanie dzisiaj. Nie umrze, jeszcze nie teraz, a może zwłaszcza nie teraz.

I

Wrocław, kwiecień 2018

Ida położyła książkę na biurku, między laptopem i pustym kubkiem po kawie. Bała się ją otworzyć i przekartkować, walczyła z przykrym wrażeniem, że druk pozbawił tę historię ducha. Historię, którą żyła od ośmiu lat. Książka, opublikowana w takiej, a nie innej formie, była świadectwem porażki Idy. Puste miejsce nad tytułem wydawało się jej teraz bardzo wymowne, próżnia, która pochłonęła lata bezowocnych poszukiwań. Mówili, że to się może tak skończyć i że w gruncie rzeczy nic nie szkodzi, bo liczy się tekst. Zdania rozpisane na pożółkłych kartkach upchniętych w bąbelkowej kopercie. Papier mocno zniszczony, atrament w wielu miejscach wyblakły. Dokument przebadali specjaliści, którzy stracili nerwy, zanim odtworzyli to, co nieczytelne. Ida była zaskoczona. Trochę to trwało, ale udało się zrobić dosyć dużo, brakowało jedynie kilku krótkich fragmentów.

Zabezpieczony manuskrypt trafił do Ossolineum, gdzie nie jest już częścią czyjegoś wewnętrznego świata, ale eksponatem. Ma całym nowe życie i pełni nową funkcję. I to dobrze. Ludzie powinni uzyskać do niego dostęp, móc wpatrywać się w pochyłe, eleganckie pismo i bez wahania wierzyć, że za tymi zapiskami ktoś był. Ktoś, kto przeżył. Pytanie tylko – kto?

Ekspertom udało się ustalić tyle, że kartki pochodzą z brulionu dystrybuowanego w PRL-u, a na jednej ze stron dość wyraźnie odbiła

się nawet ulotka Wrocławskich Zakładów Wyrobów Papierowych, wyprodukowana w latach sześćdziesiątych. Logo, adres, oferta. Ida już ją kiedyś widziała, przejrzała też w internecie zdjęcia innych zeszytów dostępnych w sklepach za komuny. Sama niewiele pamiętała z tamtych czasów. Zanim zaczęła porządnie analizować otaczającą ją rzeczywistość, epoka się skończyła.

Co jej powiedział brulion z PRL-u? Niewiele. Jedynie to, że tekst napisano przynajmniej dwadzieścia lat po wojnie. Nie przemawiała do niej teza, że powstał wcześniej i go przepisano. Próbowwała wyobrazić sobie pierwszą wersję, notatki sporządzane w samym obozie lub tuż po ewakuacji, zbiór luźnych scen, które się składa w całość i kształtuje opowieść. A jednak. Mimo czasu terazniejszego Ida wyczuwała w narracji pewien dystans wobec opisywanych zdarzeń. Jak gdyby ktoś zdążył się już namyślić, co czuł w danej chwili, przepuścić zdarzenia przez swój własny filtr. Narratorki się zmieniały, ale całość wyszła spod pióra jednego autora. Ida analizowała frazy, środki, motywy, myślники, wielokropki i wykrzykniki, sposób konstruowania zdań wielokrotnie złożonych i przewagę nad nimi zdań krótkich, rwanych, prostych i surowych. Znała je na pamięć, miała już w głowie cały zestaw ilustracji do książki, widziała poszczególne sceny, jakby rozgrywały się przed jej oczami. Wydobywała ze słów portrety kobiet, utkane z myśli i emocji, podawała im rękę i zapraszała do dyskusji. Znała je, przyjaciółki z Ravensbrück.

Czyje przyjaciółki?

Ida spędziła osiem lat, szukając Autorki książki. Ślęczała w archiwach nad aktami, oglądała zdjęcia i ryciny, rozmawiała z ocalonymi i ich rodzinami, rzucała się zachłannie na wszelkie nowe odkrycia i śledziła udostępniane materiały, choćby takie, jak listy przekazane do Muzeum Lubelskiego, które polskie więźniarki Ravensbrück

piślały moczem, by ominąć cenzurę. I nic. Ani śladu po Autorce. Zresztą – jak mogła ją znaleźć, skoro Autorka tak sprytnie się ukryła? Chowa się za barierą słów, płynnie porusza między perspektywami, żonglując słownictwem typowym dla każdej z bohaterek, by za chwilę uciec w klasyczną, stylistycznie neutralną opowieść. Może być każdą z trzech kobiet występujących w tekście. Tych trzech, które przeżyły. A przynajmniej – żyją jeszcze, kiedy opowieść się urywa. Ida usiłowała dopowiedzieć ich losy, sprawić, by *Moje przyjaciółki z Ravensbrück* otrzymały inny finał, taki, który da czytelnikowi nadzieję. I da nadzieję jej samej. Bo przecież ewakuacja obozu i marsz śmierci nie dawały nadziei. Dokonała kilku ważnych odkryć, ustaliła z dużą dokładnością tożsamość tych właśnie trzech bohaterek. Miała pewność, że istniały naprawdę, a jednocześnie – że zostały wymyślone. Te dwie rzeczy wcale się ze sobą nie kłóciły.

Trzy przyjaciółki wyszły za mur, ale nadal nie znała ich dalszych losów. O ile oczywiście były jakieś dalsze losy, jakaś druga część opowieści spisana na kartach kolejnego brulionu. Seria zdarzeń, które dowodzą, że było warto. Zbiór rzeczy zwykłych, za którymi się tęskni po rzeczach absurdalnych. Ida niechętnie dopuszczała do siebie myśl, że one po prostu nie przeżyły. Albo że przeżyła tylko jedna, która później poszła w świat, zostawiając za sobą ślady śmierci. Bo przecież marsz musiała przeżyć choć jedna. Która?

Owszem, różni ludzie mówili Idzie, że tak się pewnie stanie. Dojdzie do ściany i dalej nie ruszy, ponieważ nie da się uzyskać odpowiedzi na każde z zadanych pytań. Mówili, że w Ravensbrück więziono blisko sto trzydzieści tysięcy kobiet i znalezienie kilku może być trudne. Wreszcie – że Autorka mogła zmyślić ich imiona i historie. I Ida już wiedziała, że w kwestii imion tak właśnie zrobiła. To ona snuła tę opowieść, mogła zrobić wszystko, także porzucić

czytelnika z killkoma wątkami w garści, z których żaden nie zostanie zamknięty. Zostawić go z pytaniami, z wściekłością i rozczarowaniem. A jednak poza zmyślonymi imionami były przecież jeszcze historie. Losy, które się skrzyżowały, ścieżki, które się przecięły. W tym musiały zawierać się prawda.

Przyjmowała argumenty i szukała dalej we własnym zakresie. Opracowywała tekst i w nim przede wszystkim szukała wskazówek. Dokonała niewielu poprawek, skupiła się na literówkach i błędach w pisowni niektórych imion i nazw, bała się ingerować w składnię, naruszyć rytm. Czuła instynktowną niechęć do poprawiania Autorki, miała wrażenie, że wszystko jest właśnie takie, jakie powinno być, każdy element na swoim miejscu, wkomponowany w niepodzielną całość. A osoba Autorki wciąż nie dawała jej spokoju. Ida czuła się prześladowana przez udręczonego ducha, który nie może odejść z tego świata, miała wrażenie, że ktoś patrzy jej na ręce, śledzi każdy jej ruch. I czegoś od niej oczekuje.

Najpewniej tak było. Nie bez powodu to właśnie ona dostała tę książkę. Dokładnie przed ośmioma laty, w kwietniu. Paczka leżała na wycieraczce, ktoś zadał sobie trud, by wejść na klatkę schodową, zadzwonić do drzwi, a później uciec. To, że wybrał taki, a nie inny, zestaw czynności, sporo o nim mówiło. Musiał być w miarę młody i sprawny, w przeciwnym razie nie zdążyłby zbiec po schodach i ulotnić się w odpowiednim czasie, nawet jeśli Ida mieszkała na pierwszym piętrze. Musiał poczekać, aż ktoś otworzy bramę, chyba że jakimś cudem poznał kod do domofonu. Ostatecznie ta druga opcja nie była niemożliwa. Musiał ją obserwować. Wiedzieć, że jest w mieszkaniu. Nie zostawiłby paczki na wycieraczce, nie sprawdziwszy tego dokładnie – nie mógł dopuścić, by przesyłka się zawieruszyła. Miała trafić do konkretnego odbiorcy. Na kopercie starannie przyklejono kartkę z imieniem,

nazwiskiem i adresem – wszystko oczywiście wydrukowane, żadnego ręcznego pisma. W tej sytuacji nie było miejsca na przypadek.

Ida nie wiedziała, czy powinna się cieszyć, czy bać. Skontaktowała się z odpowiednimi osobami, a rękopis przeczytała w towarzystwie swojego przyjaciela z uniwersytetu, który od lat zajmował się literaturą obozową. I wtedy jeszcze był dla niej kimś więcej niż przyjacielem. Poszła też na policję. W końcu ktoś ją, w pewnym sensie, śledził. Być może coś planował. Funkcjonariusz, który przyjął zgłoszenie, spojrział na Idę jak na wariatkę i dał jej do zrozumienia, że mają poważniejsze sprawy na głowie niż paczki ze starymi papierami. Przez kilka tygodni nie mogła sobie znaleźć miejsca, wszędzie czuła się niepewnie, rozglądała się w poszukiwaniu nie wiadomo kogo i czego, zadawała sobie pytanie, czy on – lub ona – jest gdzieś w pobliżu. Sądziła, że po prostu rozpozna właściwą osobę, jeśli ją zobaczy. Nic takiego się jednak nie stało. Wpadła w manię prześladowczą, w kawiarni trzęsły jej się ręce, kiedy podnosiła do ust kubek z kawą, zanim położyła się spać, zamykała drzwi na trzy zamki, wystawała przy oknie, wypatrując tajemniczej sylwetki na skwerku, auto zostawiała tylko na strzeżonych parkingach. W końcu uznała, że to bez sensu. Ktoś, kto przyniósł paczkę, nie chciał jej wystraszyć. A przynajmniej na to liczyła.

„Ktoś” – figura, którą lubiła sobie wyobrazić – nie miał twarzy. Przybierał czasem postać jakiegoś człowieka z przeszłości Idy, kobiety lub mężczyzny, kogoś, kogo lubiła albo z kim nie potrafiła się porozumieć. Przypominała sobie dawnych znajomych, tych ważnych i tych mniej istotnych. Myślała o zdarzeniach z przeszłości i szukała tego jednego, które okazało się znaczące, które mogło o wszystkim zadecydować. Bo przecież zaistniała jakaś przyczyna, że to była właśnie Ida.

Zrozumiała jedno. Ktoś dowiedział się o niej bardzo wiele. I nie chodziło tylko o rzeczy tak oczywiste, jak to, czym się zajmuje, gdzie kupuje pieczywo i z kim się spotyka, ale o coś znacznie ważniejszego.

Ida chwyciła książkę i przesunęła palcem po wytłaczanych literach na okładce.

Moje przyjaciółki z Ravensbrück

Spociała się nagle i poczuła ukłucie w klatce piersiowej. Serce biło coraz szybciej, w gardle nieprzyjemnie pulsowało, żołądek skurczył się boleśnie. Ostatni raz coś podobnego przytrafiło jej się dekadę temu. Nie chciała znowu wylądować w szpitalu. Podeszła do okna i odetchnęła głęboko. Tętno stopniowo zwalniało, ból ustępował. Ida odkleiła od pleców wilgotną koszulkę i na moment opanował ją strach. Nie mogła teraz wspominać, miała inne sprawy na głowie. Wytarła dłonie w spodnie, siadła za biurkiem i sięgnęła po notes. Delikatnie odsunęła od siebie *Przyjaciółki*.



Franek zjawił się punktualnie o dziewiątej. Pachniał świeżym pieczywem, kawą i słodko-gorzkiemi perfumami. Ida wciąż była w piżamie, ale zdążyła umyć zęby, wypić pół litra wody i napisać dwa rozdziały nowej książki. Osobliwy niepokój, który czuła, rozpoczynając każdy projekt, jeszcze nie minął. Nie zaczęła żyć życiem bohaterki, nie zamieszkała razem z nią w szesnastowiecznej Francji, nie przywdziała ciężkiej sukni. Tym razem było jakoś inaczej, choć przecież wcześniej, w cieniu *Moich przyjaciółek z Ravensbrück*, napisała sześć innych książek. Fabularyzowane biografie wpływowych kobiet w historii Europy były jej pracą i wielką pasją, a rękopis – czymś prywatnym i całkiem osobnym. Uciekała w tajemnicze zapiski, próbując podjąć

dialog z Autorką. I nawet jeśli ona nigdy nie odpowiadała – Ida lubiła to robić. Jako dziecko uwielbiała wycofywać się do swojego świata i rozmawiać z wymyślonymi przyjaciółmi, udawać, że wcale nie jest chudą i niską szatynką, tylko wysoką pięknoską o blond włosach, że nie ma lekcji do odrabiania i wrednej koleżanki z klasy, ale wokół niej są zamki, ciemne korytarze, komnaty i wysokie sklepienia, żyją ciekawi ludzie, którzy zawsze mówią mądre rzeczy i których słucha się z zainteresowaniem. Widać coś w niej z tamtego czasu przetrwało.

Teraz jednak rękopis nie był czymś prywatnym i całkiem osobnym, częścią wymyślonego świata Idy i przestrzeni, w której spotykają się wymyślone postaci. Każdy mógł przeczytać historię o kilku kobietach, które poznały się w Ravensbrück, a ona musiała się odnaleźć w roli osoby odpowiedzialnej za tekst. Kierowano do niej pytania, proszono o udzielanie wywiadów i uważano, że zna wszystkie odpowiedzi. Kontekst był prawie równie ciekawy, jak sama książka. Z pewnością nie wszyscy uwierzyli w to, że rękopis tak po prostu trafił na jej wycieraczkę. Chwył marketingowy, ot co. W innych okolicznościach sama by tak pomyślała.

– Nie będę pytać, czy jadłaś śniadanie, bo wiadomo, że nie.

Franek lekkim krokiem przeszedł do kuchni. Ida patrzyła, jak stawia na stole papierowe kubki z kawą i wyciąga z szafki talerzyki.

– Dzisiaj nie było jagodzianek. To znaczy, w mojej piekarni. Gdzieś we Wrocławiu pewnie są, ale nie chciało mi się szukać. Masz do wyboru drożdżówkę z budyniem i rogalika z czekoladą.

– Nic innego nie mieli?

– Mieli to, czego nie lubisz.

– Rozumiem. Niech będzie rogalik.

Ida nie lubiła pić z papieru, przelała więc kawę do dwóch wielkich kubków. Mimowolnie spojrzała na przypaloną kawiarzkę, która wciąż stała na półce, teraz w charakterze bibelotu. Franek parsknął śmiechem.

– Jeszcze jej nie wyrzuciłeś?

– Nie.

– I nie kupiłeś nowej.

– Nie.

– Mogę to zrobić. Albo zlecę żonie.

Pokręciła głową i wgrzyła się w rogalik. Nie można tak po prostu kupić nowej kawiarki, ta miała swoją historię, Ida przywiozła ją z Włoch, kilkakrotnie przypalała i czyściła, płakała nad nią i się śmiała. Parzyła w niej kawę swoim dwóm chłopakom, temu interesującemu, którego miło wspominała, i temu nieciekawemu, którego pożegnała z ulgą. I Frankowi. Frankowi, który już nie był ani chłopakiem, ani znajomym. Chyba – tak naprawdę – nie był też przyjacielem. Nie potrafiła go przypisać do żadnej kategorii.

– Ciągłe nie polubiłeś Katarzyny? – zapytał, przełykając wielki kęs drożdżówki.

– Której?

– Medycejskiej.

– Nie trawię jej – mruknęła. – Dziwne, że działała na nerwy tylu osobom i jakimś cudem nikt jej nie ukatrupił. Wiesz, mam ochotę na coś zupełnie innego niż dotąd. Na taką małą historię alternatywną, w której Katarzynę ktoś truje, a królową Francji zostaje szkocka Maria Stuart. Wiem, wiem, jeszcze trzeba kogoś dodatkowego zamordować, bo sama Katarzyna nie wystarczy, ale...

Franek wpakował sobie do ust kolejny kęs i pokiwał głową.

– Ciekawe.

– Byłoby. Ale nie będzie.

– Histeryzujesz. Wszystko zależy od perspektywy – wybełkotał, przeżuując. – Wejź do głowy Katarzyny i potem już poleci.

Ida skrzywiła się nad kubkiem kawy.

– Ciekawe, że akurat ty to mówisz. Jaką przyjmujesz perspektywę, pisząc swoje naukowe rozprawy w tonie „ą ę” i „dupa” przez „rz”?

– Naukowa rozprawa wymaga czasem „dupy” przez „rz”.

– No jasne.

Ida umilkła i skupiła się na swoim rogaliku. Franek nie skomentował tego od razu, ale wiedziała, że szykuje jakąś nędzną ripostę, tak dla zasady. Przeciągnął się, napił kawy, mruknął, że wystygła, po czym uśmiechnął się lekko.

– A jak, twoim zdaniem, należy pisać o literaturze?

– Niestety właśnie tak. Inaczej wychodzi, że podczas czytania usypiamy intelekt, a...

– Niestety, bo twoim zdaniem jesteśmy wyprani z emocji.

– A nie jesteście?

– Emocje to nie jest dobry doradca, Ido. Albo – nie zawsze jest. Nie chodzi tylko o to, żeby cię szarpało za bebechy, lecz o to, żeby...

– Wiem, wiem. Ja to wszystko wiem. Mimo to za każdym razem, kiedy pozostaję z tekstem na tym zimnym, racjonalnie podpartym balkoniku, robi mi się smutno.

– Bobyś chciała przeżywać.

– A twoim zdaniem to źle. Przeżycia są nic niewarte.

– Nie mówię, że są nic niewarte, mówię, że nie chodzi tylko o...

– I zaczynamy od nowa, a ja dokładnie wiem, co chcesz powiedzieć, więc zawczasu sobie odpuśćmy. Potrafisz jeszcze czytać książkę ze skurczonym żołądkiem, zarywając noc? Jesteś jednym z bohaterów? Chcesz trzymać konia na werandzie jak Pippi albo uszyć sobie sukienkę z bufiastymi rękawami jak Ania Shirley?

– Pewnie, sukienkę z bufkami zawsze.

Prychnęła i zebrała palcem okruchy z talerza. Nadal była głodna, zjadłaby pizzę z czterema serami albo makaron z hummusem.

Zawsze właśnie tak to wyglądało. Pisała od piątej, w piżamie, o samej wodzie – i dawniej kawie, kiedy jeszcze kawiarka nadawała się do użytku. O ósmej burczało jej w brzuchu, ale należało jeszcze pisać, bo przecież o tej porze zawsze dobrze szło. O dziewiątej świat budził się do życia, odgłosy z zewnątrz zaczynały ją denerwować, a głód nie dawał spokoju. Wtedy jadła, dużo i treściwie, by za godzinę ponownie usiąść do pracy. Rogalik był dobry na przystawkę.

– Nie masz racji – odezwał się znowu Franek. On także skubał okruchy.

– Pewnie nie mam.

Ida była gotowa oddać mu sprawiedliwość. Ktoś musiał badać literaturę i ubierać ją w te wszystkie fachowe określenia. Coraz mniej ludzi chciało to robić, należało więc ich doceniać i o nich dbać, jak o przedstawicieli ginącego gatunku.

– A ty z kolei masz rację. Z tą perspektywą. Muszę wejść do głowy Katarzyny Medycejskiej.

– Albo przyjmij kilka punktów widzenia i napisz o Katarzynie z zewnątrz, wejdź w rolę tych, którzy ją obserwowali i z nią przebywali.

Zamyśliła się. Kawa rzeczywiście wystygła, a za oknami świeciło słońce i zieleńiły się drzewa, jakaś kobieta szła szybko chodnikiem, stukając obcasami, ktoś wyprowadził psa, ktoś rozmawiał przez telefon. Franek powiedział o rzeczy, która dotyczyła także *Moich przyjaciółek z Ravensbrück*. Tam właśnie Autorka przyjęła kilka punktów widzenia, zderzała ze sobą obserwatorów i obserwowanych. A zwłaszcza trzy postaci, których tożsamość Ida odkryła. Wskazówki, jakie Autorka umieściła w tekście, dotyczyły właśnie tych kobiet, ale faktów było wciąż za mało.

– Myślisz o nich, prawda? – zapytał cicho Franek, nie odrywając wzroku od talerza. – To ci nie daje spokoju, nawet teraz, kiedy książka już wyszła. Powinnaś ruszyć z miejsca. Straciłaś osiem lat.

Spojrzała na niego z nagłą złością.

– Straciłam? Ja to widzę inaczej.

– A jak? Od ośmiu lat ścigasz cienie wymyślonych postaci.

– W pewnym sensie zostały wymyślone, ale sam przecież wiesz, że...

– W międzyczasie – kontynuował – piszesz książki o swoich silnych kobietach w historii Europy i całe szczęście, że ci to jakoś wychodzi i możesz połączyć te dwie rzeczy. Ale pomyśl. Co by się stało, gdybyś skupiła się tylko na jednej? Na swojej pracy? Byłabyś lepsza. Miałabyś więcej czasu na zebranie dokumentacji, mogłabyś pogłębić temat.

– Wiem. Nie pogłębiam tematu, spływam go. Idę na skróty, już mi to mówiłeś.

– Nie zawsze spływasz i nie zawsze idziesz na skróty. Ale czasem tak.

– Przyszło ci do głowy, że po prostu nie jestem szczególnie utalentowana?

– Naprawdę mam to skomentować? Piszesz siódmą książkę, o bardzo ciekawej postaci. Daj z siebie sto procent, a nie tylko osiemdziesiąt.

Potrząsnęła głową.

– Nie potrafię...

– Oddałaś *Przyjaciółkom* wielki kawał swojego życia. Nie rozwinęłaś kilku ciekawych znajomości, odrzuciłaś parę dobrych ofert z wydawnictw, zrezygnowałaś ze studiów doktoranckich...

– To nie było tylko przez *Przyjaciółki*, po prostu nie chciałam...

– Rozstałaś się z facetem, który...

– Ja się rozstałam?

Ida podniosła głos, a Franek na chwilę umilkł. Nieczęsto zdarzało im się rozmawiać w taki sposób, jak gdyby przerzucali sobie z rąk do rąk gorący ziemniak, który zostawia na skórze bolesne pęcherze.

Trudne tematy obchodzili łukiem, a przynajmniej od niedawna. Robili to, bo chcieli utrzymać poziom, zostać na etapie rogalików i kawy, nawet jeśli zdawali sobie sprawę z wiszących między nimi niedopowiedzeń i nieprzepracowanej przeszłości.

– Dobrze, to ja odszedłem od ciebie – przyznał. – Ale sama wiesz, jak było. I że ja też to przecierpiałem.

– Wiem. Ale poradziłeś sobie. Masz żonę, syna. Poradziłeś sobie, prawda?

– A ty sobie poradziłaś?

– Pomogłeś mi, z tą książką. Bardzo mi pomogłeś. A teraz co?

– A teraz myślę, że trzeba wiedzieć, kiedy skończyć.

Powoli podniósł się z krzesła, wstawił naczynia do zmywarki i wyrzucił papierowe kubki do kosza. Poruszał się po jej kuchni z dawną swobodą, ale Ida wiedziała, że właśnie powiedział coś ważnego, co nie dotyczyło tylko rękopisu. Rękopis oddalił ich od siebie, a później znowu zbliżył. Ida musiała poprosić o pomoc właśnie jego, bo nie znała – i nie chciała znać – lepszego specjalisty. Przebadał dla niej tekst, przeszperał z nią kilka źródeł, pojechał w parę miejsc. Pewne fakty ustalili wspólnie. Podał jej rękę i nie odmówił wsparcia, lecz miała pewność, że zrobił to niechętnie. Dawał rady, z których i tak nie zawsze korzystała. Zdobył się na cierpliwość, czekał, aż przestanie go potrzebować. Mimo że on sam ruszył z miejsca. Ułożył sobie życie, potrafił. A ona właśnie rozumiała, że dla jego dobra powinna zniknąć. Trzeba wiedzieć, kiedy skończyć.

– Lepiej już idź.

Kiwnął głową i zdjął z oparcia krzesła marynarkę.

– Dasz sobie radę?

– Jak zawsze.

– Świętuj trochę. Tydzień temu była premiera *Przyjaciółek*, to twój sukces.

– To nie mój sukces. Nie ja napisałam ten tekst.

Franek przewrócił oczami i wyszedł do przedpokoju. Na pożegnanie pocałował ją w oba policzki i delikatnie przytulił. A ona nie potrafiła się powstrzymać i powiedziała:

– Istniały. One istniały, przynajmniej trzy z nich. Wiesz, że tak. Żyły poza tym tekstem.

Nie odpowiedział. W ciszy wyszedł na klatkę schodową. Stała przy oknie, póki nie wsiadł do auta i nie odjechał.



Tego dnia można było dalej próbować zrozumieć Katarzynę Medycejską albo przejść się do Rynku, usiąść w słońcu i pomyśleć o zupełnie innych sprawach. Ida czerpała trudną do pojęcia przyjemność z uświadamiania sobie własnych błędów i formułowania wniosków, że gdyby sytuacja się powtórzyła, postąpiłaby dokładnie tak samo. Jak z Frankiem. To był dobry człowiek i kochała go nadal. Skręcało ją z zazdrości na myśl o żonie i synu, rodzinie, której nigdy nie poznała, a z którą on wiódł teraz swoje prawdziwe życie. Zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę i nie przekraczał w ich relacji pewnej granicy. Od czasu do czasu, jeśli akurat wypadał wtorek, zjawiał się u Idy ze śniadaniem i kawą, jak dziś, znał jej rytuały i lubił z nią rozmawiać. Czuli się swobodnie w swoim towarzystwie, siadali naprzeciwko siebie, zachowując odpowiedni dystans, zero dwuznaczności, przypadkowego dotyku, znaczących spojrzeń. Zwyczajna, neutralna sytuacja. A jednak Ida była przekonana, że ani razu nie wspominał żonie o tych wtorkach. Że gładko i bezrefleksyjnie zatajał ich spotkania,

że za łatwo przychodziło mu kłamstwo. I ten fakt miał swój ciężar. Przydzielał im role winnych.

Wpatrywała się w zalany słońcem bruk i wspominała dawne chwile spędzone z Frankiem. Miał rację. Oddała *Przyjaciółkom* z *Ravensbrück* spory kawałek swojego życia.